Sceneria: dawne województwo łódzkie, zapuszczona wiocha na lewym brzegu sztucznego zbiornika wodnego o wiele mówiącej nazwie Jeziorsko. Równie zapuszczona agroturystyka, która z prawdziwym tego typu obiektem wspólną ma tylko tabliczkę na kolorowym ogrodzeniu(chociaż w ogóle jak można tu użyć słowa "prawdziwe", co to kurwa ma być ta agroturystyka? zabawa w rolników? inscenizacja chłopów Reymonta , poruchajmy się w stogu siana a potem nakarmimy kozę i króliki? Bezsens. Szczury wymyśliły to dla szczurów, pieprzeni akwizytorzy, obywatele wysp-stref specjalnych ze szkła i stali, które to obiekty bez trudu znajdziecie w każdym większym mieście, goście od wymyślania potrzeb pod które póżniej będą mogli stworzyć usługi. Niektórym się nie powiodło, wypadli z tak czczonego przez swoją klasę kieratu i musieli wrócić do wypizdowa górnego, skąd wyrwali się krwawicą swoich rodzicieli, dumnych z faktu ze syn, panie to do miasta na uniwersytety poszedł, i właśnie ci którym się powinęła noga wymyślili agroturystyki, bo im się nie chciało w polu zapieprzać, to dalej zakładać agrowczasy, żeby inne szczury mogły poczuć dawno zapomniany ale przecież jednak tak znajomy zapach obornika za stodołą). Po tej chwili zadumy nad polską przedśiębiorczością wiejską pora wrócić do naszego opisu scenerii, mamy już "agroośrodek", zabłocone podwórko, żólto-czerwone maszyny rolnicze rdzewieją przed budynkiem gospodarczym. Dalej: dom z charakterystycznych białych pustaków czy czego tam, pierwsze piętro, na korytarzu kuchenka z butlą gazową, na lewo pokój. Na ścianach, od prawej: fototapeta(obowiązkowe góry, sosny, świerki, potok), żeliwny zlew z plastykową imitacja terakoty maskująca kucia do baterii, dalej balkon przysłonięty storami w brązowe tulipany i firankami pranymi "...regularnie co dwa miesiące panie, bo te papierochy...". Następna ściana: równie wielki jak obrzydliwy obraz chyba matki boskiej z chyba dzieciątkiem i na pewno gołębiami i liliami, w plastikowej udającej złotą ramie, grubszej niż mój biceps. Pod ścianami dwa kredensy i regał, zrobione z płyty pilśniowej obitej laminatem a la Maybach, na pólkach leżą(nie stoją) książki w szarych płociennych oprawach: "Historia II Wojny Światowej" tomy 1-12, "Zarys geografii politycznej", tomy 1 i 3 "Wielkiej koalicji"(na boku jednego z nich ktoś nabazgrał imię-symbol epoki, Urban, bazgroł można animować szybko przerzucając strony), a także kilkanaście innych książek do których nie mam ochoty zaglądać podobnie chyba jak i domownicy. Na kredensie telewizor(wiem pasowałby rubin ale jest Philips przywieziony zapewne z saksów) i lampka nocna z włóczkowym abażurem, a jest i kilka fidrygałek z fioletowego szkła, obowiązkowy łabędź i kotek na szydełkowanej serweteczce. Na koniec sztuczne kwiaty zwisające z doniczki na łańcuchu zwisającej z sufitu w kącie pokoju. Powiedzcie sami, w takim pomieszczeniu nie jedno może się zdarzyć, myśli same napływają do głowy kiedy człowiek leżąc na miękkiej sprężynowej wersalce(bardziej wpasowałaby się w klimat, gdyby poskrzypywała) szykuje się do snu. Aaa, czy dodałem że kolesie z elektrowni wodnej kilka dni temu podnieśli wszystkie śluzy i kompletnie osuszyli Jeziorsko? Tak że, teraz patrząc przez okno mam piękny widok na betonowy płotek i kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych częściowo zasypanej śniegiem, zamarzniętej błotnej pustyni. I teraz, otoczony takimi właśnie dekoracjami leżę sobie i myślę...

Pustynia...pustynia...znaliście kiedyś jakąś pustynię? Ja znam, i to od całkiem dawna. Pierwsze moje wspomnienia o Pustyni datują się gdzieś na jesień 2004 roku. Latem pracowałem u Czachy, w dobrze, na owe czasy, prosperującej firmie ociepleniowej, roboty było zatrzęsienie a doba miała jak zawsze tylko dwadzieścia cztery króciuteńkie godziny. Mieszkałem w akademiku, który na lipiec i sierpień zamienia się w dosyć puste i przygnębiające miejsce zaludnione tylko przez uprzywilejowane niedobitki braci studenckiej, turystów których nie przeraża zdzierstwo UG i jakieś lekko zawiane i zdezorientowane ekipy robotnicze. Pracowałem od poniedziałku do soboty, od rana do wieczora i nie było lekko(do historii prac wysokościowych przeszedł moment kiedy Obcy, majster naszej ekipy, zawiesił na rusztowaniu tabliczkę: wytrzymałość 150kg=Ernest+wiadro giby), nie byłem też prawdę mówiąc najlepszym pracownikiem, za to nadrabiałem to zgraniem z ekipą(no bo kto inny wychyli z Biołym, wtedy początkującym alkoholikiem, browar na kaca zaraz przed wejściem na dwudziestometrowe rusztowanie). W soboty kończyliśmy pracę wcześniej, w okolicach godziny szesnastej i zaczynał się krotki ale intensywny Łykięd(wymowa oryginalna). Szybki prysznic w akademcu, całus przesłany portierce już w

drzwiach, tramwaj i Underground. Uczcijmy teraz minutą ciszy i podwójnym trzykropkiem pamięć tego świetnego lokalu... ... .

Dobra. To było zajebiste miejsce. Browar w litrowych kuflach(naturalnie Specjal), klatki(lekko przyciasne, zawsze obcierały mi koszulkę) i małolaty, dużo małolat. Dla steranego studencko-robotniczym tygodniem, zblazowanego bywalca lokali trójmiejskich to był raj. Eden rozłożył nogi, a ja wszedłem. Nie wiem kim byli ludzie z którymi wtedy imprezowałem, nie mam najmniejszego pojęcia jak imiona nosiły barmanki, które później spotykałem w drodze na kolejkę czy uniwerek. Nigdy tego już się nie dowiem, nawet jeśli przypadkiem minę je w tramwaju czy autobusie. To była wielka i piękna karuzela, laski-browar-laski-laski-browar-laski-tramwaj-wyro(opcjonalnie plaża),czasami kawałek z tramwajem jakoś wypadał mi z pamięci. Tak przebimbałem dwa cudowne letnie miesiące. A, i zapomniałem jeszcze o wizycie kuzyna z południa, kiedy to obaj byliśmy świadkami na uroczystej ceremonii zaręczyn bliżej nam nieznanej parki, wydarzenie to miało około czwartej nad ranem, pod fontanna Neptuna na Długiej. W ulewnym deszczu i pomarańczowym świetle lamp sodowych jakiś koleżka wyznawał wieczną miłość wybrance swego zalanego w trzy dupy serca i prosił ją o rękę klęcząc na mojej kurtce a kuzyn to wszystko fotografował. No ale zagalopowałem się troszeczkę we wspominkach. Pewnie czekacie aż zacznę o Pustyni, wstęp ten był jednak konieczny, gdyż właśnie w Underze poznałem tą dziewczynę. Na imię miała ładnie(tak tak, nie od początku była Pustynią), nie powiem jak, kto zgadnie to wygrywa termos. Nie wyróżniała się zbyt ostro ani na tle tych pięknych młodocianych dziewcząt w arafatkach, sztruksowych czerwonych dzwonach i włóczkowych berecikach(duchowe potomstwo dzieci kwiatów - kinderhipisi), ani też nie zakłócała harmonii stylu równie pięknych, a mrocznych i tajemniczych valkirii mocno umalowanych czarną kredka, snujących się po co ciemniejszych kątach lokalu. Ciemne proste włosy, jasna(ale nie blada) piegowata cera, lekko przylizany do góry nosek, i ciemnoniebieska bluza z suwakiem(suwak suwak suwak). Wpadła mi w oko chyba nawet nie sama Pustynia ale jedna z jej koleżanek, ktorych grupa krążyła po sali w poszukiwaniu miejsc siedzących. Reszta rytuału zawarcia tej znajomości tonie w mrokach Undera i dekalitrach(sic!) piwa Specjal. Na kolejnej imprezie znaliśmy się już. Wiecie chyba jak to jest, tacy klubowi znajomi to czasem wybawienie. Idziesz na na tańce, do miasta, dziad umyty, niektórzy się nawet golą, najlepsza czarna bluza na grzebiecie, z kołnierzem, drobne na taksówkę w tylniej kieszeni żebyś czasem w zamroczeniu nie przepił drogi powrotnej(a i tak budziłeś się w tramwaju, który robił już drugie okrążenie Gdańsk Główny-Jelitkowo-Stogi, często już z un bilet doux od kontrolerow MZK), no nieważne, idziesz na tańce a tu dupa zbita jak mawiali chłopcy z budowy. Wszystkie panny zajęte, poprawka wszystkie interesujące panny zajete, nie po to wychodzisz przecież na miasto zeby oblegać jakies, no nazwijmy to tragicznie piękne dziewczeta. Zawsze jest nadzieja, idziesz do baru, i po nadziei, kurwa barman. I wtedy właśnie, klubowe znajome pojawiają się żeby ratować kawalera w opresji. Jest już do kogo pomachać, mrugnąć i nawet się przysiąść, już jesteś w grupie. Nie jesteś kolejnym koleżką- outsiderem, przytulonym do kontuaru i łykającym czwarte już litrowe piwo, a piwo w samotności barowej jest dobre, mówi: wypij mnie...jestem dobre... Ale nie, ty już jesteś zintegrowany, w pewneym momencie tak dalece zintegrowany że aż interesujący. Bo facet w grupie to już jest ktoś, jest częścią stada, a to oznacza ze potrafi wspóldziałać, że nie jest jakimś socjopatą i nie przegryzie ci gardła w ciemnej bramie za rogiem, że może nawet potrafi się wysłowić, ba, może nawet interesująco gada, w końcu ktoś go tam słucha w tym stadku, gdzieś ma korzenie, nie jest jakimś robotnikiem z poza miasta co z dziczy wyszedł się zabawić, chociaż skórę ma twardą na dłoni kiedy prosi cię do tańca. Tak to już jest, lepiej trzymać się kupy. Podobnie przedstawiał się właśnie kolejny weekend, stałem przy barze i czekałem na jakieś znajome twarze. Liczyłem po cichu że pojawi się pewna dama, która chyba tydzień wczesniej uwiodła mnie zwyczajnie zapalając papierosa, serio, przypomnijcie sobie te wszystkie czarnobiałe femme fatalle z filmów noir, te zdemoralizowane córki kalekich generałów i potentatów prasowych z powieści Channdlera, w tych dziełach zawsze jest choćby jedna scena zapalania papierosa i jest równie erotyczna co pierwszy pocalunek z koleżanką z klasy na szkolnej wycieczce. Tak było i wtedy, nie będę się rozpisywał bo to temat na zupełnie inna historię, dodam tylko że jeszcze

tylko raz w życiu spotkałem kobiete o tak miekkich ustach, niestety nie paliła. Oczywiście została moja dziewczyną. Wróćmy jednak do owej, drugiej w znajomości z piekną Pustynia i przyległościami, soboty w Undergroundzie. Pozycja przy barze nie była zbyt przemyślana strategicznie, mieścił się on wtedy w podziemiu klubu i nie było możliwości obserwacji przybywających. Z zapasem piwa przenioslem się więc na górny poziom, chyba nawet na antresolę, gdzie mialem lepsze warunki do inwigilacji i wejścia i parkietu.

Wiem, obiecałem, ale jednak chyba jestem zbyt leniwy, każdy deadline uwiera mnie jak przyciasne gacie w kroku. No ale, słowo to słowo, nawet jeśli piszę to teraz siedząc krawedzią tyłka na łóżku które na tą zawszoną(coś mnie pogryzło po brzuchu niecnie, znalazło szeroki pole do harców i pogryzło)agroturystykę trafiło chyba prosto z planu "Włóż go przez kratę IV", i to przez dary dla powodzian... Za podkładkę pod mysz robi tom listów i komentarzy Raymonda Chandllera(i kto kurwa wie, że w marcu przypadła pięćdziesiąta rocznica jego śmierci, co??), na szafce nocnej zastepujęcej stolik pod kompa, z popioły kiepy podejmują już szturm na podłogę, a paczka Mocnych straszy nadrukiem "palenie zabija"... Dam radę... Pomyslalem jednak, że i wam i mnie dobrze zrobi mała zmiana perspektywy z której patrzymy na tą historię. Zgaście więc światło(choć i tak wiem że lubicie czytac mnie po ciemku, świntuszki) i poczujcie ten smrodek przedziału kolejowego drugiej klasy na trasie Krynica Górska-Gdynia.

Leżałem sam, w ciemności przeszywanej tylko szybkimi błyskami pomarańczowych i niebieskich świateł zza okna, za szybą płynie Polska. Lubię jeździć pociagami, szczgólnie nocą i w pustym przedziale, przypomina to trochę drogę na cmentarz. W trumnie. Kładziesz się na siedzeniu, w butach, nie ma cię, niby jesteś, ale gdzie? Zapaszek, jakby cos się rozkładało. Czasem coś szarpnie, jak gdyby koleżka co na wlasnym barku twoją trumnę dźwiga przesadził z wódą na stypie, czasem hamowanie prawie zwala cię na podłogę, to pewnie jakaś staruszka wyskoczyła na pasy przed karawanem. Za cienką ścianą obitą laminatem, czasem ktoś coś zaspiewa albo zapłacze, czasem jeszcze coś. Deszcz zabębni w dach jak grudki ziemi z łopaty grabarza, a jak już jako tako ułożysz sie do snu i przymkniesz oczy... Bach, sąd ostateczny-kontrola biletów. W takiej podróży zawsze ugniatam nudę w komórce, mały telefon w paczkach po 164 znaki każda, pomaga mi sie pozbyć natłoku myśli. Esemesuję do każdego numeru w ksiązce, jak leci, nie ważne czy to Anetka, poznana około północnej godziny pod jakąś knajpą, co do której(i knajpy i Anetki)mam raczej pewność, że nigdy się nie spotkamy, czy też była koleżanka z roku, bacznie obserwowana przezemnie od dwócz lat, przy czym moja nią fascynacja rosła z miesiąca na miesiąc. Piszę do każdego i pytam o wszystko, jak leci, co porabia, i co tam u teściów. Czasem ktoś nawet odpisze, ja też odpowiadam i tak jakoś przez kilka godzin się to kręci, potem przychodzi czwarta rano albo kończy się kredyt. Podróż którą opisuję miała miejsce już chyba z rok albo dwa po tym jak poznałem Pustynię. Przez ten czas zdążyłem ja poznać calkiem dobrze, a przynajmniej tak mi się zadawało. Po tamtych wakacjach nadszedł wrzesień a z nim wizyta pewnej szczególnej dla mnie osoby, następnie październik. Po wygranej kampani wrześniowej(po jakiś wpis dzwoniłem nawet na polskie stanowisko archeologiczne gdzieś w Turcji albo innym Pakistanie) znowu mogłem zamieszkać w akademiku. Bóg nie wysłuchał sprzątaczek, portier i kiery, może dały za mało na mszę? Brać studencka w październiku robi to co umie najlepiej. Nie, dzierganie makatek jest dopiero na drugim miejscu. Chlałem i ja, miałem też sporo radochyz przyszłych-niedoszłych współlokatorów. Wylegujesz sobie spokojnie kaca przed kolejną wieczorna parapetówką, a toto wchodzi jak do siebie, ciska walizkę czy plecak na wyro i mówi "cześć, będziemy razem mieszkać". He he. Nieobeznanym świerzakom z pierwszego roku udawało się dojść nawet do "razem", po czym szybki rzut oka na pokój przywracał ich do rzeczywistości i wycofywali się po cichu, stary wiarus akademikowy tylko otwierał drzwi, spostrzegał mnie, zamiast powitalnej frazy rzucał krótkie "o kurwa!" i leciał w dydry do kierowniczki po innym przydział zanim braknie miejsc. Takie to miałem w owych czasach uciechy i zabawy. Po kilku tygodniach, kiedy nie spożywa się juz tyle, że jedynym miejsce dokąd można dojść jest klub w podziemiach domu studenckiego nastapiła faza "wyjść na miasto".